

STANISŁAW BIENI<sup>1</sup>

## Dr med. Zbigniew Szlenk (1931-2022)

### Wybitny historyk otorynolaryngologii. Człowiek niepospolity – *in memoriam*

<sup>1</sup> Prof. dr hab. med., emerytowany profesor Collegium Medicum Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach

W nielicznym gronie historyków medycyny, opisujących dzieje chorób uszu, nosa, gardła, krtani i pogranicza, dr med. Zbigniew Szlenk (Ryc. 1) zasługuje na czołowe miejsce.

Urodzony 25 lipca 1931 r. w Pajęcznie, w powiecie radomszczańskim, był pierwszym dzieckiem Walentego i Marii Szlenków. W 1936 r. osierociła go matka – prawdopodobnie zmarła na gruźlicę. Trzy lata później przeżył wybuch II wojny światowej, a bombardowanie Wielunia szczególnie utkwilo w jego dziecięcej pamięci. Jego ojciec walczył w ruchu oporu.

Po wojnie, w 1950 r. ukończył Liceum im. Henryka Sienkiewicza w Częstochowie, a następnie w latach 1950-1955 studia lekarskie w Akademii Medycznej w Łodzi. W 1953 r. poślubił koleżankę z roku, Larysę z d. Wilkowską. Z małżeństwa tego zrodziło się czworo dzieci: Larysa jr (1954), Maria (1955), Krzysztof (1959) oraz Zbigniew jr (1964). Uwielbiał przyrodę, a jego szczególną pasją były góry. Wyjeżdżał w Tatry, kiedy tylko mógł.

Pierwszym miejscem zatrudnienia Szlenka był Bieś, wieś koło Gietrzwałdu, skąd doktor codziennie dojeżdżał do Oddziału Laryngologicznego Szpitala Wojewódzkiego w Olsztynie, gdzie specjalizował się pod kierunkiem doc. Bolesława Laszki. W 1962 r. uzyskał drugi stopień z chorób uszu, nosa, gardła i krtani. Pracował krótko w Ostródzie, w 1958 r. przeniósł się

do Inowrocławia, a po 10 latach wraz z żoną okulistką podjął pracę w Wojewódzkim Szpitalu Dziecięcym w Dziekanowie pod Warszawą. Stamtąd po kilku latach przeniósł się do Kliniki Laryngologii Instytutu Reumatologii przy ul. Spartańskiej w Warszawie, kierowanej przez prof. Tadeusza Bardadina, a po jego śmierci i likwidacji tejże kliniki znalazł swoje miejsce jako adiunkt w Klinice Otolaryngologii warszawskiej Akademii Medycznej przy ul. Banacha 1A.

Doktor Szlenk sprawnie poruszał się w różnych działach otolaryngologii. Szczególnie cenne były jego dokonania naukowe dotyczące metod przywracania funkcji połykania i głosu po usunięciu krtani, gardła i części przetyku z rekonstrukcją przeszczepem z jelita czczego i krętniczo-kątniczego u chorych z zaawansowanymi nowotworami złośliwymi tego regionu. Był też jednym z inicjatorów wprowadzenia fonorynospirometrii do diagnostyki.

Szlenk uznawany jest wybitnym historykiem otorynolaryngologii. 22 października 1985 r. w Warszawie za inicjował powstanie Sekcji Historycznej Polskiego Towarzystwa Otolaryngologicznego; został sekretarzem sekcji, a przewodniczył jej doc. Eugeniusz Olszewski z Krakowa. Wtedy też dr Szlenk zaczął własnym sumptem wydawać periodyk sekcji – „Materiały Naukowe Sekcji Historycznej Polskiego Towarzystwa Otolaryngologicznego” (od 1992 r. – „Materiały Sekcji Historycz-

nej Polskiego Towarzystwa Otolaryngologów – Chirurgów Głowy i Szyi”) [1]. „Materiały...”, ukazujące się nieprzerwanie do dzisiaj, zawierają wprawdzie nier recenzowane prace, ale niejednokrotnie o znacznej wartości historycznej. Dostępne są w zbiorach Biblioteki Narodowej, Głównej Biblioteki Lekarskiej oraz Biblioteki Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego. Działalność Towarzystwa Laryngologicznego w latach 1921-1970 była tematem pracy doktorskiej Szlenka. Ponadto opublikował setki artykułów. Jego działalność, niezwykle bogata, wnikliwa, różnorodna, na pewno zasługuje na pogłębioną analizę naukową i mogłaby być doskonałym materiałem dysertacji doktorskiej.

Działalność naukowa i społeczna dr. Zbigniewa Szlenka została doceniona w 2006 r. przez nadanie mu członkostwa honorowego Polskiego Towarzystwa Otolaryngologów – Chirurgów Głowy i Szyi.

Po 91 latach jakże pracowitego życia dr Szlenk odszedł od nas 25 lutego 2022 r. w Szpitalu Bielańskim w Warszawie i spoczywa na cmentarzu parafialnym św. Małgorzaty w Kielpinie, w gminie Łomianki k. Warszawy.

Dokonania zawodowe i naukowe dr. med. Zbigniewa Szlenka zanalizowano w odrębnych publikacjach [2,3]. Ostatnią publikacją na jego temat jest praca pt. *Dr med. Zbigniew Szlenk (1931-2022) – członek honorowy Polskiego Towarzystwa Otolaryngologów – Chirurgów Głowy i Szyi, historyk otolaryngologii*, przyjęta

do druku w „Polskim Przeglądzie Otolaryngologicznym” [4].

Autor niniejszego doniesienia – emerytowany profesor Collegium Medicum Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach, w latach 1970-1989 pracujący w Klinice Otolaryngologii Akademii Medycznej w Warszawie – na posiedzeniu online Mazowieckiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Otolaryngologów Chirurgów Głowy i Szyi w dniu 19 marca 2022 r. tak wspominał zmarłego przyjaciela (poniżej treść tego wystąpienia wraz z późniejszymi uzupełnieniami):

\*\*\*

Dzisiaj odbył się pogrzeb Zbyszka. Zmarł 25 lutego 2022 r., przeżył 91 lat. Był postacią tak dalece niepasującą do otaczającej nas rzeczywistości, że trudno zamknąć ten piękny życiorys w uporządkowanej, zgrabnej formie. Ja spróbuję przedstawić tę nietuzinkową postać poprzez przywołanie kilku, nieznanych zapewne, zdarzeń z bogatego życiorysu doktora Zbigniewa Szlenka.

Kiedy w 1980 r. po moim powrocie z Libii gnieździł się w cztery osoby w pokoju 716 Kliniki, odbierałem Zbyszka przez pierwsze dni jako małomównego, wycofanego trochę dziwaka, ale szybko doceniłem jego niestandardowe zachowania, a i on pewnie przekonał się do mnie. Mówiący cicho, rzadko zabierający głos,



Ryc. 1. Od lewej: dr Tadeusz Jegliński, prof. Alberto Staffieri, dr Zbigniew Szlenk

zawsze dyspozycyjny, na operacyjnym bloku z reguły komuś asystujący, uparty w swoich pomysłach, ale jednocześnie niezwykle cierpliwy dla chorych. Co prawda, miał swoje, niegroźne dla nich, terapeutyczne eksperymenty z opatrunkami w leczeniu naszych onkologicznych niepowodzeń, ale potrafił przyjeżdżać w wolne dni, aby samemu zmieniać opatrunki u chorych z przetokami czy niegojącymi się ranami po takich operacjach. A dodać przy tym należy, że nie posiadał samochodu, a mieszkał w Łomiankach k. Warszawy.

Po ogłoszeniu 13 grudnia 1981 r. stanu wojennego jego radykalne poglądy kontestujące otaczającą nas szarą rzeczywistość i konsekwencja w działaniu ujawniły się w pełni. A dodatkowym atutem konspiratora była jego nierzucająca się w oczy postać. Natychmiast postanowił dokumentować otaczającą nas, często wręcz surrealistyczną rzeczywistość. Aparat fotograficzny, jedna z jego pasji, miał zawsze ze sobą w plecaku. W pierwszych dniach stanu wojennego w 1981 r. u wylotu ul. Miodowej naprzeciwko kościoła św. Anny stał czołg, podobnie zresztą przez jakiś czas na parkingu przed szpitalem na Banacha stał wojskowy samochód-radio-stacja z wysuniętą kilkumetrową anteną, a widzianą z siódmego piętra szpitalnego bloku ul. Banacha w regularnych odstępach czasu przejeżdżał ten sam transporter opancerzony. Miała to być, w zamierzeniu twórców stanu wojennego, manifestacja siły i zdecydowania władzy, ale Warszawa kwitowała to raczej ironicznym uśmiechem. Politowanie, a nie respekt budziły patrole młodych żołnierzy na ulicach, grzejących się przy żelaznych koszach z tłącym się koksem. Zbyszek uparł się, aby wykonać zdjęcie czołgu stojącego przed kościołem św. Anny, dezorganizującego i tak już niewielki ruch u zbiegu ulic Krakowskiego Przedmieścia i Miodowej. Ale ponieważ tuż obok koksowników stały patrole, a tuż obok, na placu koło Kolumny Zygmunta, stał wojskowy samochód, groziło to nie tylko utratą aparatu. Kiedy nieopatrznie powiedziałem Zbyszkowi, że przypadkowo wiem, jak wejść na strych w kościele, a może uda się stamtąd na prawie płaski dach, już nie było odwrotu, bo Zbyszek był uparty i jeśli coś zamierzył, nie było możliwe, aby mu odmówić. A ja posiadałem tę wiedzę, bowiem w czasie studiów śpiewałem w chórze akademickim przy kościele św. Anny i kiedyś ks. Tadeusz Uszyński, rektor duszpasterstwa, polecił nam wnieść na strych jakieś kościelne dekoracje. Schody od wewnętrznego podwórka prowadzące na strych nie były, jak się okazało, zamknięte i co więcej, bez problemu można było też wejść na prawie płaski dach i z góry, zza fasady kościoła, Zbyszek wykonywał te zdjęcia. Jestem przekonany, że pozostały w jego domowym archiwum fotograficznym. Spróbujmy uruchomić wyobraźnię. Dwóch, wydawałoby się poważnych doktorów chodzących incognito po kościelnym dachu w centrum Warszawy.

Ale to nie był jedyny akt osobistego protestu Zbyszka Szlenka w stanie wojennym. Jego dziełem, które zostało zapamiętane w Zakopanem, ale bez wykrycia jego sprawcy, było kilkugodzinne oświetlenie krzyża na Giewoncie w Wigilię Bożego Narodzenia 1982 r., kiedy jeszcze system stanu wojennego, wydawałoby się, mocno kontrolował wszelkie przejawy społecznego nieposłuszeństwa, chociaż wspomniałomyślnie na Święta Bożego Narodzenia zawieszono zakaz poruszania się po kraju. Tutaj Zbyszek, z pozoru cichy i trochę jakby wycofany, okazał się w swoich nieprawdopodobnych planach konsekwentny i co ważne: skuteczny. Jakiś czas wcześniej zauważyłem, że Zbyszek w dużej ilości kupuje płaskie, 4,5V baterie do latarek, całymi pudełkami. Na pytanie, do czego mu potrzebne, odpowiedział jakoś wymijająco, co też było charakterystyczne w różnych jego niestandardowych planach. Nie wiem, ile tych baterii w sumie zgromadził, ale pewnie kilkakset. Zlutowane i połączone z łańcuchem żarówek, być może przewiezione i wyniesione na raty, 24 grudnia zapaliły się w formie gwiazdy betlejemskiej na krzyżu na Giewoncie. Na szczęście pogoda sprzyjała i widać je było z dołu z Zakopanego. Zanim „odpowiednie służby” je zauważyły, zanim wspięły się na Giewont i zniszczyły instalację, gwiazda betlejemska świeciła kilka godzin jako symbol nadziei w tamte ponure dni. Nikt nie dowiedział się wtedy, kto był autorem tego wyczynu, a na pewno nie podejrzewano o to jakiegoś niepozornego doktora z Warszawy.

Tatry to była pasja Zbyszka i mimo iż nigdy nie bał się w typową alpinistykę, to wszystkie szlaki tatrzańskie znał na pamięć. Swoją pasję zaszczerpił Krzysowi, swojemu synowi, i to pośrednio stało się później jego wielką tragedią. Pamiętam, jak w zimowej przerwie semestralnej w styczniu 1981 r. zapytał mnie kiedyś: „Jak myślisz, czy z odmrożeniami III stopnia, w stanie śpiączki można przeżyć?”. Już nie pamiętam, co mu na to odpowiedziałem, pewnie, że szanse są niewielkie. „Bo widzisz” – Zbyszek na to – „mój syn w takim stanie leży w szpitalu”. Okazało się, że Krzys, student I roku medycyny, z kolegami wybrał się w Tatry i jako jedyny z kilkuosobowej grupy, która utknęła na szlaku w wyniku załamania się pogody, mimo że wcześniej chodził w Tatry z ojcem, z tej grupki został i po prostu zamarzł. Nigdy nie dowiedziałem się od Zbyszka, a trudno było samemu pytać, o szczegółach okoliczności tego wypadku. Sądząc po tym, że Krzys znalazł się najpierw w szpitalu w Popradzie, potem w Koszycach, znaleźli go słowaccy ratownicy. Długi czas po tym Zbyszek opowiedział mi kiedyś, jak to zwykle on, ściszoną głosem, że udało mu się dotrzeć jeszcze do umierającego syna i że w jakiś zakonspirowany sposób wraz z nim wszedł na OIOM słowacki ksiądz, który udzielił Krzysowi Sakramentu Ostatniego Namaszczenia. A w czeskosłowackim szpitalu to było przestępstwo.

Wspomnieć trzeba o jeszcze jednej inicjatywie Zbyszka, która doskonale ilustruje jego upór i konsekwencję w realizacji tego, co sobie zamierzył. Chyba inspiracją do tworzenia „skrzyń Świętego Krzysztofa” była tragiczna śmierć jego syna Krzysia, ale tak on tego nigdy nie określał. Miał to być ratunek dla tych, którzy utknęli na tatrzańskich szlakach. Spawane z solidnej blachy, wielkości średniej walizki, z otwieranym wiekiem, zawierały latarkę, baterie, świece, koc i trochę suchego powiantu (cukierki, czekolada). Zbyszek to wszystko przenosił i umieszczał na trudniejszych tatrzańskich szlakach. Nie wiem, ile takich skrzyni wykonał, bowiem część z nich została zniszczona, a inne były systematycznie rozkradane. Ale on konsekwentnie chodził, mocował je do skały, naprawiał i uzupełniał. Nie potrafię powiedzieć, kiedy ostatecznie zrezygnował z tego zamierzenia. A przypomnieć należy, że nie było jeszcze ani wolnych sobót, ani wolnego dnia po dyżurze i on, najczęściej w sobotę, jechał nocnym pociągiem do Zakopanego, szedł w Tatry, a w poniedziałek rano prosto z powrotnego pociągu zjawiał się w pracy. A kondycję miał żelazną, czego ja sam raz jeden doświadczyłem – w czasie wyprawy po jedną fotografię do doliny Pięciu Stawów Polskich.

Zbyszek postanowił przed kolejną pielgrzymką papieża Jana Pawła II do Polski w 1987 r. przygotować dla Ojca Świętego album fotograficzny *Znaki Boże w Tatrach*, dokumentujący wszystkie kapliczki, krzyże, figurki rozsiane na tatrzańskich szlakach. Wtedy nie zniesiono jeszcze zakazu poruszania się w Tatrach, ale już nikt tego obostrzenia nie pilnował. Zbyszek skompletował zatem kilkadziesiąt dobrych technicznie fotografii kapliczek, krzyży i figurek rozsianych w różnych miejscach na tatrzańskich szlakach. Wiem też, że kilka z takich „znaków Bożych” nielegalnie w Tatrach kiedyś umieszczonych było bądź usuwanych przez pracowników Parku Narodowego, bądź niszczone przez jakichś wandalów. A Zbyszek w miarę możliwości umieszczał je tam ponownie. I na początku grudnia, chyba 1984 r., namówił mnie, abym na jeden dzień wybrał się z nim w Tatry, bo brakowało mu do albumu fotografii kamiennej płaskorzeźby z figurą św. Józefa, w jadalni schroniska w Dolinie Pięciu Stawów Polskich. I po całej nocy w pociągu do Zakopanego, PKS-em w kierunku Łysej Polany i od Wodogrzmotów Mickiewicza zaczęliśmy podejście. To nie jest trudny szlak, ale o ile na dole w Zakopanem akurat padał deszcz ze śniegiem, to wyżej już śnieg sypał równo. Podchodził jeszcze z nami Jurek Pagacz, nasz fotograf szpitalny z Instytutu Chirurgii CSK na Banacha, który wcześniej już przyjechał do Zakopanego i niósł dużą lampę na statywie na wypadek, gdyby w schronisku nie było wystarczającego oświetlenia. I to był kolejny przykład, jak Zbyszek potrafił nas uwikłać w swoje zamierzenia, a czynił to w taki sposób,

że nie sposób mu było odmówić. W schronisku, przy takiej pogodzie, zastaliśmy jedynie gospodarza schroniska Andrzeja Krzeptowskiego i kilku ratowników TOPR-u, którzy spożywali znane napoje rozgrzewające. Tutaj zrobiliśmy stosowne zdjęcie, zjedliśmy coś ciepłego i udaliśmy się w drogę powrotną, żeby nas zmrok nie zastał, bo śnieg sypał nieustannie. Po tym świeżym śniegu, dobrze powyżej kolan i nie do końca trasą szlaku, którego nie było już widać, zeszliśmy na dół. To nie było jakoś skrajnie niebezpieczne, ale gdyby któryś z nas chociażby skrzył nogę, to już mógłby być problem. Ale Zbyszek dopiął swego i album z fotografiami zdołał osobiście Ojcu Świętemu wręczyć.

Tak żył i działał dr Zbigniew Szlenk, skutecznie, z żelazną konsekwencją, cicho, bez rozgłosu. Sądzę, że wielu znających go tylko z pracy w szpitalu i tylko od tej strony stykających się z nim nawet go o opowiedziane teraz działania nigdy nie podejrzewało. Część z tych aktywności była idealistyczna, dzisiaj byśmy powiedzieli: chybiona, część nie spełniła jego oczekiwań, ale on się nie zmieniał. Tak było z jego włączeniem się w akcję obrony krzyży na tzw. Żwirowisku obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu, z aktywnością w Towarzystwie Katyńskim czy też z ideą sprowadzania szczątków ofiar pomordowanych w obozach sowieckich. Tak też było, po części, ze zorganizowaną przez niego „Rodziną św. Łukasza”, poprzez którą docierająca wtedy z różnych kierunków pomoc charytatywna była kierowana do lekarzy i szerzej: do pracowników naszego szpitala. A wtedy żyliśmy naprawdę biednie.

Pisząc o jego wydawniczej aktywności, dodać należy, że unikał jak ognia Internetu, a nawet nie używał telefonu komórkowego. Ostatni jeszcze tekst – niespełna na dwa lata przed śmiercią, o który w typowy dla siebie sposób prosił mnie w ręcznie pisanym liście tak, że nie potrafiłem mu odmówić – ja, po napisaniu na laptopie i wydrukowaniu na drukarce, musiałem włożyć do koperty i wysłać mu pocztą.

Opisane wyżej wydarzenia charakteryzujące postać dr. Zbigniewa Szlenka miały miejsce przed czterdziestu laty. Ludzka pamięć jest zawodna. Czasem to nawet dobrze, że nie wszystko z tamtego ponurego okresu pamiętamy. Ale w odniesieniu do dr. med. Zbyszka Szlenka mam przeświadczenie, że nie tylko wśród tych, którzy znali go jedynie jako starszego kolegę z kliniki, ale i wśród młodych kolegów lekarzy, dla których opisane tu historie mogą wydać się wręcz irracjonalne, ta postać z naszego laryngologicznego kręgu nie zostanie zapomniana.

**PIŚMIENNICTWO**

[1] Treść numerów tego periodyku zawarta jest w dwóch publikacjach: *Materiały Sekcji Historycznej Polskiego Towarzystwa Otolaryngologów – Chirurgów Głowy i Szyi*, 2001, XVII, 1, 3 et passim; *Materiały Sekcji Historycznej Polskiego Towarzystwa Otolaryngologów – Chirurgów Głowy i Szyi*, 2011, XXVII, 1-2, 14 et passim.

[2] Kierzek A., Doktorowi Zbigniewowi Szlenkowi w osiemdziesięciolecie urodzin. *Materiały Sekcji Historycznej Polskiego Towarzystwa Otolaryngologów – Chirurgów Głowy i Szyi*, 2011, XXVII, 3, 20-26.

[3] Kierzek A., Nestorowi polskiej laryngologii – doktorowi med. Zbigniewowi Szlenkowi, członkowi honorowemu Polskiego Towarzystwa Otolaryngologów – Chirurgów Głowy i Szyi – w 90 rocznicę urodzin. *Magazyn Otolaryngologiczny* 2021, XX, 3(79), 126-127.

[4] Niemczyk K., Bień S., Kierzek A., Dr med. Zbigniew Szlenk (1931-2022) – członek honorowy Polskiego Towarzystwa Otolaryngologów – Chirurgów Głowy i Szyi, historyk otolaryngologii. *Polski Przegląd Otolaryngologiczny*, (przyjęto do druku).